

Zapiski terenowe

nr 2
Luty 2026

Wizjoner



Kilka słów wstępu

Cześć!

Etnozin to projekt współtworzony przez osoby studenckie i absolwenckie z Instytutu Etnologii i Antropologii Kulturowej Uniwersytetu Warszawskiego. Naszym celem jest stworzenie przestrzeni dla młodych badaczy i badaczek do dzielenia się doświadczeniami, przemyśleniami i refleksjami z badań terenowych. Nie jesteśmy pismem akademickim i nie publikujemy artykułów naukowych. Interesują nas eseje, notatki terenowe, impresje a także formy bardziej literackie.

Drugi numer poświęcamy zapiskom terenowym. Prezentujemy zbiór tekstów, dotyczących pierwszych spotkań w terenie oraz wynikających z nich doświadczeń, refleksji i wyzwań. Przeczytacie tu o badaniach wśród uczestników Marszu Niepodległości, strzelczyń sportowych i warszawskich policjantek. Zetkniecie się z pytaniami o to, czy i jak pić z rozmówcami oraz dlaczego pierwsze chwile w terenie są takie cenne. Pan Ptak Zaglądacz zabierze was na ulicę Pattaya w Tajlandii, pan Władysław zaś opowie, jak trzy razy zmienił religię, lecz ani razu wiary. Dowiedziecie się na końcu, jak bardzo antropologia może wpłynąć na czyjeś życie, czego uczą badania z pajakami i co można spotkać podczas szwendania się po Zakopanem.

Poza tekstami publikujemy także fotoreportaż z ukraińskiej Bukowiny, autorstwa Mikołaja Witkowskiego i Józka Nowosielskiego oraz plakaty przygotowane przez Wiktorię Kraszeninnikową. Autorką okładki jest Lola Tosia Lisicka. Serdecznie dziękujemy wszystkim osobom autorskim, graficznym oraz osobom pracującym nad składem i redakcją za ogrom pracy włożonej w to wydanie. Chcemy zapoczątkować tradycję świętowania dnia, w którym ukazuje się nowy numer Etnozina. Premierę drugiego numeru uczymy, celebrując Dzień Dinozaura!

Wszystkiego najlepszego i zapraszamy do lektury!

ZESPÓŁ ETNOZINA

grafika
@torustracje

przytulny



kącik

„Jesteśmy żołnierzami tysiącletniego Królestwa Polskiego”

– doświadczenia z badań Marszów
Niepodległości w Warszawie

ALEKSANDRA TARKA

W 2021 roku dołączyłam do Grupy Badawczej Demonstracje. Nasze badania polegają na przeprowadzaniu krótkich wywiadów podczas protestów oraz rozdawaniu ankiet do wypełnienia po wydarzeniu. W ciągu ostatnich kilku lat wzięłam udział m.in. w Marszu Miliona Serc (2023), marszu z okazji 1000-lecia Królestwa Polskiego (2025) czy w proteście „Precz z Zielonym Ładem” (2024). Jednak najbardziej spektakularnym wydarzeniem, które ankietowałam, jest Marsz Niepodległości w Warszawie. Różni się on znacząco od wszystkich innych marszów i demonstracji, w jakich brałam udział. Nie tylko samą skalą i napięciem politycznym, lecz także sposobem, w jaki funkcjonuje w wyobraźni zbiorowej i mediach. Do tej pory uczestniczyłam w nim trzykrotnie: w 2023, 2024 i 2025 roku. W 2021 roku nie poszliśmy na marsz ze względu na podwyższone ryzyko zamieszek.

Zanim wzięłam udział w marszu w 2023 roku, znałam go jedynie z me-

dialnych doniesień. W głowie miałam zdjęcia podpalonego racą mieszkania z 2021 roku, płonąca tęczą i nagrania starć między policją a uczestnikami. Kiedy nasz zespół wchodzi na teren wydarzenia w kamizelkach odbłaskowych, z imiennymi identyfikatorami i specjalnymi przepustkami od organizatorów, wyobrażenia te nie wydają się odległe od pierwszych wrażeń. Z jednej strony towarzyszy mi napięcie i lęk przed tym, co może się wydarzyć, z drugiej ekscytacja, bo nie jest to codzienne doświadczenie.

Czuję się, jakbym wchodziła w strefę wojny. Nie dlatego, że toczy się realny konflikt, po prostu wszystko wokół sugeruje możliwość starcia. Marsz zabezpieczają: policja, Służba Ochrony Państwa, straż miejska oraz funkcjonariusze i żołnierze z całego kraju. Wszyscy czekają w gotowości na potencjalne zamieszki. W 2025 roku, być może w związku z obecnością prezydenta Nawrockiego, na budynkach wzdłuż Al. Jerozolimskich można było dostrzec uzbrojonych snajperów.

Marsz to prawdziwe wyzwanie sensoryczne. Jest głośno, czuć zapach prochu, dym z rac utrudnia widoczność od samego początku wydarzenia. Muszę cały czas uważać, bo mimo zakazów i obecności policji uczestnicy wnoszą materiały pirotechniczne: race, petardy, świece dymne. Najtrudniejszy jest huk wybuchających petard. Kilkukrotnie ktoś odpalił je tuż przy mnie lub podrzucił pod nogi. Trzeba uważać, bo można zostać przypadkowo podpalonym (jeden z naszych kolegów stracił w ten sposób kurtkę). Ludzie krzyczą, skandują hasła, śpiewają, trąbią, przemawiają przez megafony. Z czasem przyzwyczaiłam się do tej intensywności (przestałam nawet wzdrygać się na dźwięk wybuchów) ale za każdym razem, gdy wracam z badań, długo jeszcze huczy mi w uszach a ciało domaga się ciszy.

Marsz Niepodległości to nie tylko celebrowanie państwowej niezależności, lecz także przestrzeń wyrażania poglądów politycznych. Towarzyszą mu przemówienia i transparenty reprezentujące różne środowiska. Są jak lustro: odbijają aktualne nastroje i postulaty części uczestników. Pojawiają się hasła, odnoszące się do problemów demograficznych, lęku przed naruszeniem granic, walki o tradycyjną rodzinę czy zachowanie polskiej kultury i religii. Widać transparenty z napisami: „Polska dla Polaków”, „Dziękujemy za obronę naszych granic”, „Kotki i psiecka nie zastąpią ci dziecka”, „Bez ojców nie ma ojczyzny”. Można spotkać także furgonetki i banery organizacji sprzeciwiających się prawu do aborcji. Regularnie dostrzegam w tłumie portrety maryjne i symbole religijne.

Największym zaskoczeniem była dla mnie liczba osób starszych i rodzin z dziećmi. Kontrastowało to

z moim wcześniejszym wyobrażeniem, że na marsze chodzą wyłącznie młodzi mężczyźni w patriotycznych bluzach i kominiarkach. Tymczasem częstym widokiem są rodzice prowadzący wózki z przypiętymi biało-czerwonymi flagami. Starsze panie w biało-czerwonych wiankach spacerują w grupach, obok małżeństw, znajomych, kobiet i mężczyzn w różnym wieku. Mam wrażenie, że wewnątrz jednego wydarzenia funkcjonują dwa marsze. Jeden wyraźnie polityczny, drugi niemal w konwencji rodzinnego, patriotycznego spaceru z elementami rekonstrukcji historycznej. Nie wykluczają się. Współistnieją. Czy sami uczestnicy dostrzegają tę dwoistość? A może to tylko moja interpretacja?

Zdarzają się również zabawne nieporozumienia. Nasze kamizelki bywają mylone z oznaczeniami służb porządkowych, więc zdarzyło się, że poproszono mnie o interwencję w rozłączeniu dwóch bijących się mężczyzn. Uśmiechnęłam się i poinformowałam, że moje szanse na udaną interwencję są nikłe a tak poza tym to jestem z Instytutu Filozofii i Socjologii PAN i tylko tu ankietuję.

Udział w Marszu uważam za doświadczenie fundamentalne dla mnie jako antropolożki. Gdyby nie badania, prawdopodobnie – jak wielu moich znajomych – omijałabym centrum miasta tego dnia. Przyszłam tam ze stereotypami o „prawakach” i „narodowcach”, ukształtowanymi przez bańkę medialną i ideologiczną, której sama jestem częścią. Wysłałam z pokorą. Nie było to oświecenie, lecz początek uczenia się patrzenia na świat oczami ludzi, z którymi się nie zgadzam i dostrzegania w tym wartości.

Zaczęłam zadawać sobie pytania: kim są ludzie, którzy co roku wy-



fot. Aleksandra Tarka

chodzą na ulice? Czego szukają? Czym jest dla nich patriotyzm i ojczyzna? Na większość z nich nie znajdziemy odpowiedzi w zbieranych przez nas ankietach. To rodzi we mnie potrzebę pogłębionych badań jakościowych. W ramach obecnego projektu nie jest to jednak możliwe. Jesteśmy poinstruowani, by nie wdawać się w dyskusje. Moje interakcje z uczestnikami są krótkie i ograniczone. Liczy się liczba rozdanych i wypełnionych kwestiona-

riuszy. Nie ma czasu na rozmowę. Jestem tam w roli ankieterki lub osoby wskazującej respondentów i na tym moja rola się kończy.

Marsz Niepodległości pozostawia mnie z niedosytem poznawczym. Ankiety porządkują odpowiedzi, lecz nie odsłaniają znaczeń. Nie pogłębiają mojego rozumienia i nie zaspokajają ciekawości. Być może dlatego czuję potrzebę wrócić tam nie z ankietą, lecz z propozycją rozmowy.

Odnajdywanie siebie *w świecie* *strzelectwa* sportowego

NATALIA ZUGAJ

To, że zaczęłam badać strzelczynie, było w głównej mierze przypadkiem, pomysłem podrzuconym mi przez koleżankę z laboratorium, która sama związana jest z klubem strzeleckim. Takim właśnie sposobem wpadłam w swoją niszę, z której staram się wydobyć to, co najlepsze. Szybko się zorientowałam, jak rzadka i mało rozpoznawalna jest to dyscyplina. Zwykle ludzie albo odbierają ją negatywnie, jako niebezpieczną, albo pozostaje dla nich niewidzialna, bo ciężko zobaczyć ją w mediach, nawet mimo wielu dobrych

jej reprezentantów. Dają mi to odczuć również moje rozmówczynie, kiedy podczas wywiadów zadają pytania, w rodzaju: „Czemu strzelectwo? Skąd w ogóle taki pomysł?”. Nie są przyzwyczajone do zainteresowania tym sportem. W rezultacie odczuwam, że jest to temat nieoczywisty i być może nie wystarczająco odkryty.

Wielu interesujących rzeczy dowiaduję się przed włączeniem dyktafonu i po jego zatrzymaniu. Mam wtedy okazję porozmawiać swobodnie ze swoimi rozmówczyniami, co pozwala mi na wejście z nimi w bardziej naturalną relację: rolę, która nie będzie przypo-

minała dziennikarki. Nagrywanie tworzy w końcu barierę, o czym przekonałam się już po pierwszym wywiadzie, kiedy usłyszałam: „jak nagrywałaś, to nie chciałam ci tego mówić”. Dzieje się tak dlatego, że strzelectwo jest dosyć zamkniętym, kameralnym środowiskiem, więc moim rozmówczyńom ciężko jest poczuć się anonimowymi, szczególnie kiedy opowiadają mi w miarę bieżące wydarzenia. W rezultacie poza nagrywaniem dostaję wiele szczegółów, które przeznaczone są wyłącznie dla mnie, ale które pomagają mi jeszcze głębiej zrozumieć świat, który badam. Ja sama również bywam pytana: czy trenuję sport, albo czy chciałabym nauczyć się strzelania. Muszę przyznać, że nie miałam w życiu zbyt wielu doświadczeń sportowych, zwłaszcza wiążących się z rywalizacją. Pomimo różnych wątpliwości uznaję to jednak za plus, bo mam dzięki temu więcej zabawy z poznawaniem tego zupełnie obcego mi środowiska. Jeszcze zanim na dobre zaczęłam badania, miałam przyjemność postrzelać trochę z karabinu. Kiedy przed moim pierwszym wywiadem pojawiłam się na treningu w klubie strzeleckim, trenerka spontanicznie mi to zaproponowała i chyba sam ten fakt dodał mi poczucia komfortu w tym nowym miejscu. Czułam się w pewnym sensie zaproszona, chciana. Pokazało mi to, że nie postrzegają mnie tu jak intruza, który chce tylko umówić się na wywiady i uciekać. Na pewno nie uważam, żeby strzelanie do celu przez 10 minut jakkolwiek legitymizowało moje badania. Nie sprawiło również, że rozumiem, co dzieje się w umyśle strzelczyni na mistrzostwach Polski, fajnie jednak było zobaczyć, jak to się robi. Mogłabym nawet nazwać to jakimś rytuałem przejścia. Później, podczas wy-

wiadów, nieraz byłam pytana, czy kiedyś strzelałam i możliwość odpowiedzenia twierdząco dawała mi dużo satysfakcji.

Wchodzę w kompletnie obce mi środowisko. Wcześniej praktycznie nic nie wiedziałam o strzelectwie, pytam więc dziewczyny o stereotypy, które do niedawna były też w mojej głowie. Zakładałam, że to o wiele bardziej męski sport i teraz mogę się pośmiać z samej siebie. Broń kojarzyła mi się głównie z przemocą lub jakimś fanatyzmem na punkcie militariów, bo w innym kontekście niestety raczej się o tym nie słyszy. Moje rozmówczynie podkreślały nieraz, że strzelanie jest dla nich czasem pewnego relaksu, skupienia się na ciele, na oddechu, gdy nie myślisz o codziennych problemach. Podoba mi się to konfrontowanie moich własnych założeń z rzeczywistością. Gdy tylko słyszę odpowiedź „nie”, jestem podekscytowana. Jakieś moje tezy ciągle się przekształcają, ale wiem, że złożą się to powoli w jedną całość. To jest na pewno jedna z moich ulubionych rzeczy: możliwość bycia „kompletnie głupią”. Nawet, jak dostaję tę samą informację dwa razy, nigdy nie brzmi ona tak samo, więc pytam kilkakrotnie o wszystko, co jest dla mnie jakkolwiek niejasne. Moment zakończenia nagrywania zawsze daje mi taką pozytywną energię, poczucie spełnienia i motywację, żeby się nie poddawać. Myślę, że historia moich badań pokazuje, że z pozornego przypadku może urodzić się coś potrzebnego i ciekawego.

grafika
@torustracje

TAKI

mam

**S
T
Y
L**



Jak poznałam antropologię

JAGODA RATNAYAKE

Długo zastanawiałam się, o czym napisać ten tekst. Postanowiłam wreszcie poświęcić go temu, jak bardzo pochłonęła mnie antropologia oraz jak bardzo zmieniły mnie te studia. Wcześniej przez cztery lata studiowałam biotechnologię, kierunek, na którym wymagano ode mnie zupełnie innego sposobu myślenia. Z powodu choroby podjęłam decyzję o jego zmianie. Początkowo trudno było mi się z tym pogodzić, z perspektywy czasu widzę jednak, że była to jedna z najlepszych decyzji w moim życiu. Jestem na drugim roku licencjatu i z pełnym przekonaniem mogę powiedzieć, że te studia zmieniły mnie na zawsze.

Najbardziej odczuwalną zmianą jest sposób, w jaki postrzegam innych ludzi. Stałam się bardziej otwarta, ale przede wszystkim bardziej uważna. Mam więcej zrozumienia dla zachowań innych, a kiedy mi go brakuje, staram się je znaleźć. Rzeczy, nad którymi nigdy się nie zastanawiałam, teraz wywołują we mnie falę pytań. Dlaczego kiwamy głową, mówiąc sąsiadowi „dzień dobry”? Z czego wynika to, że jedni pacjenci są uprzejmi i wyrozumiali, a inni na mnie krzyczą? Dlaczego starsze osoby często przynoszą ciasto na zakończenie rehabilitacji, a młodszy rzadko to robią? Jak widać, sporo pytań pojawia się przy okazji mojej pracy w przychodni rehabilitacyjnej, gdzie mam kontakt z różnymi, głównie starszymi, osobami. Gdy jadę do innego miasta, zwracam uwagę na to, jak ludzie się ubierają, ruszają, ogólnie: zachowują. Parę razy dziennie przychodzi mi do głowy coś, co można by zbadać. Część z tego zapisuję sobie w notesie na stronie „pomysły na badania” i pęka mi serce, że większość z nich pozostanie w nim na zawsze.

Nawet w moim prywatnym życiu widzę, jak bardzo zmieniłam się przez to półtora roku. Jestem bardziej cierpliwa, wydaje mi się, że lepiej rozumiem innych i z większą uważnością słucham moich bliskich. A do tego zawsze mam jakąś fajną anegdotkę z zajęć do podzielenia się ze znajomymi. Myślę, że największą zaletą studiów humanistycznych jest to, że dają mi okazję do skonfrontowania się z własnym zdaniem. Mam przestrzeń na to, żeby podzielić się moimi przemyśleniami, ale też wysłuchać innych. Poznaję dzięki temu nowe perspektywy i zmieniam swój pogląd na niektóre sprawy. Fajnie jest też prowadzić własne badania na temat, który mnie interesuje.

Antropolog a alkohol

HANNA PIOTROWSKA

Kiedy pierwszy raz jechałam w teren, wiedziałam, że będę miała do czynienia z alkoholem. Byliśmy przygotowani na to przez nasze prowadzące. Ich przestrogi szybko znalazły też potwierdzenie w naszych doświadczeniach na wsi. Rozmówcy byli bardzo ochoczy do picia, co niestety utrudniało czasem pracę w terenie. Nie da się dobrze skupić na robieniu notatek z grilla imienninowego rozmówcy, trudno też je zapisać po otrzeźwieniu, gdy pamięta się tylko fragmenty konwersacji i niektóre elementy otoczenia. A jednak,

można w tych okolicznościach usłyszeć wiele ciekawych historii i stwierdzeń, które zapewne nie padłyby nigdy „na trzeźwo”. Jak w takim razie pogodzić picie z badaniami terenowymi i jak sobie ograniczyć późniejsze kłopoty?

Na początku chcę zaznaczyć, że nie trzeba zmuszać się do picia z rozmówcami. Osoby, z którymi rozmawiałam, zazwyczaj szanowały takie wytłumaczenia, jak branie leków czy abstynencja. Oczywiście nie zawsze da się uniknąć presji ze strony rozmówców, zarówno podczas samotnego prowa-

dzenia badań, jak i wtedy, gdy robimy to z inną osobą. Priorytetem powinno być poczucie bezpieczeństwa badacza i kontrola sytuacji – bez względu na to, czy propozycja napięcia się jest wyrazem gościnności ze strony rozmówcy, czy okazją do pochwalenia się domowym wyrobem, nie ma sensu kontynuować wywiadu, jeżeli czyjeś granice komfortu zostały przekroczone.

Ważnym aspektem jest etyka prowadzenia wywiadu z osobą nietrzeźwą – jak traktować treści usłyszane podczas takiej rozmowy? Czy w przypadku nagrywania wywiadu udzielona przez rozmówcę zgoda jest ważna w stanie jego nietrzeźwości? Nawet jeżeli ktoś zgodzi się na nagrywanie, może zmienić zdanie wobec tematu, poruszonego przezeń pod wpływem alkoholu. Ostatecznie ta decyzja powinna zostać podjęta przez rozmówcę.

Kiedy już decydujemy się napić, należy zadbać o to, by nie stracić nad tym pełnej kontroli. W tym celu warto znać swoje granice i potrafić się na nich zatrzymać. Bardzo pomaga również picie z jeszcze jedną, zaufaną osobą, najlepiej drugim badaczem.

Możemy wówczas ustalić podział ról: jedna osoba pije z rozmówcą a druga prowadzi rozmowę i kontroluje sytuację. W moim przypadku był to kolega, który zawsze na propozycję napięcia się odmawiał. Zamiast tego prowadził notatki i kierował rozmową. Stwarza to również pewne ramy bezpieczeństwa – zawsze jest obecna osoba, która może zapobiec wymknięciu się sytuacji spod kontroli.

Dodatkowo warto uważać na to, co mówią rozmówcy pod wpływem alkoholu. Często (ale nie zawsze) żarty, stwierdzenia i zachowanie stają się bardziej agresywne, mogą nieświadomie zranić, wpłynąć na wcześniej wspomniane poczucie bezpieczeństwa. Zachowanie czujności pozwala na uniknięcie sytuacji, które mogą przerodzić się w niebezpieczne.

Na pewno jest wiele innych sugestii, dotyczących picia alkoholu z rozmówcami, które można by przytoczyć. Te, które wymieniłam w tekście, są tylko przykładami, najważniejszymi dla mnie uwagami. Według mnie picie w terenie jest możliwe do pogodzenia z badaniami, jeśli narzucimy sobie pewne ograniczenia, pozwalające zachować kontrolę nad sobą i sprawnie zareagować w nietypowej sytuacji.

Czy dobrze jest się napić piwa z rozmówcami?

*O znaczeniu początkowego zdziwienia
w badaniach terenowych*

LOLA TOSIA LISICKA

Jest pierwszy poranek w terenie. Uważnie patrzymy przez szybę autobusu, kręcimy się po okolicy, targamy swoje kanapki i butelki z wodą. Wszystko jest zupełnie nowe i ciekawe, przerażające i ekscytujące jednocześnie. Nawet najmniejsze bodźce i zjawiska wywołują burzę wewnętrznych pytań, które pojawiają się niemal automatycznie, jedno po drugim. Skąd wziął się proboszcz weganin? Dlaczego w sklepiku nie przyjmują płatności kartą? Do kogo należy pies, którego codziennie mijamy? Dlaczego tylko ten odcinek trawy jest skoszony? Czy wydaje mi się, że powietrze jest tu inne? Kim jest mężczyzna obrażany w graffiti?

To czas intensywnego odbioru absolutnie wszystkiego. Każdy szczegół przyciąga uwagę, bo nie mamy jeszcze żadnych filtrów ani skrótów poznawczych. Jesteśmy uważni, czasem niepewni, często lekko zagubieni.

W miarę jak wsiąkamy w teren, zmienia się nasza sytuacja poznawcza.

Poruszamy się w otoczeniu i rozmowach dużo pewniej i płynniej – zaczynamy rozumieć wcześniej nieznane słowa, pamiętamy drogę do okolicznych wsi, znamy imiona badanych, siedzimy w kuchni przy herbacie, prosimy o podwózkę, próbujemy bimbru i domowego sera. No i oczywiście wiemy, o co chodzi z tym psem, księdzem itd.

Wsiąknięcie w teren to nie tylko zadomowienie się w okolicy, ale też we własnym funkcjonowaniu jako badaczki. Wypracowujemy swoje metody zagadywania i prowadzenia rozmowy, znajdujemy osobisty styl robienia notatek, wykształcamy preferencje co do rozmówców czy miejsc, do których się udajemy. A w końcu – tworzymy swój rytm pracy. Nabieramy rutyny w tym nowym miejscu: wyruszanie w teren, notowanie, konsultowanie, przegadywanie z innymi. A wieczorami upragniony odpoczynek w postaci rozmów i piwa, często nawet z badanymi! I bardzo dobrze, bo o to nam właśnie chodzi, prawda?

Jednak jednocześnie tracimy to początkowe wyczulenie. Łatwo jest zapomnieć o swoich pierwszych spostrzeżeniach czy pytaniach, przysłanianych kolejnymi wydarzeniami, obserwacjami i rozmowami. W końcu tyle się dzieje. Dlatego zachęcam do skrupulatnego uwieczniania tych początkowych wrażeń. Trzeba nagrywać, opisywać i fotografować teren, notować nasze refleksje i spostrzeżenia, a później wracać do tych materiałów podczas dalszej pracy badawczej czy opracowywania wniosków. Jest to najbardziej zewnętrzny i obcy obraz, jaki będziemy mieć. I właśnie dlatego jest taki cenny.

Oczywiście chcemy wniknąć w teren, aby móc przeprowadzić badania. Więc, odpowiadając na tytułowe pytanie, dobrze jest móc się napić z rozmówcami piwa, posłuchać plotek, przejść się na spacer po znanej już sobie okolicy, poczuć się swobodnie i komfortowo

traktowanym niemal „jak swój”.

Natomiast, zanim do tego dojdzie, warto wykorzystać owo poczucie wyobcowania i niezręczność nowicjusza. Nie są to przyjemne uczucia, ale pozwalają dużo zauważyć. Myślę, że na początkowym etapie badań widzimy więcej niż na późniejszym – choć są to inne informacje i inne doświadczenia. Na końcowym etapie badań mamy swój skonkretyzowany temat i szkice wniosków, jesteśmy niemal ekspertami w wybranym temacie, widzimy wiele szczegółów, które umiemy analizować.

A początkowe widzenie, to widzenie oczami osoby z zewnątrz, która zadaje elementarne pytania: o co tu chodzi, jak to działa i dlaczego właśnie tak. Z czasem te pytania przestają się pojawiać, bo odpowiedzi wydają się oczywiste. A często to właśnie takie pytania są najważniejsze.

fot. Lola Tosia Lisicka



Podczas jednego z laboratoriów terenowych studenci mieszkali w ekologicznym gospodarstwie, które zajmuje się m.in. hodowlą kóz. Na wiosnę rodzą się dziesiątki młodych, które wspólnie hasają na pastwiskach.

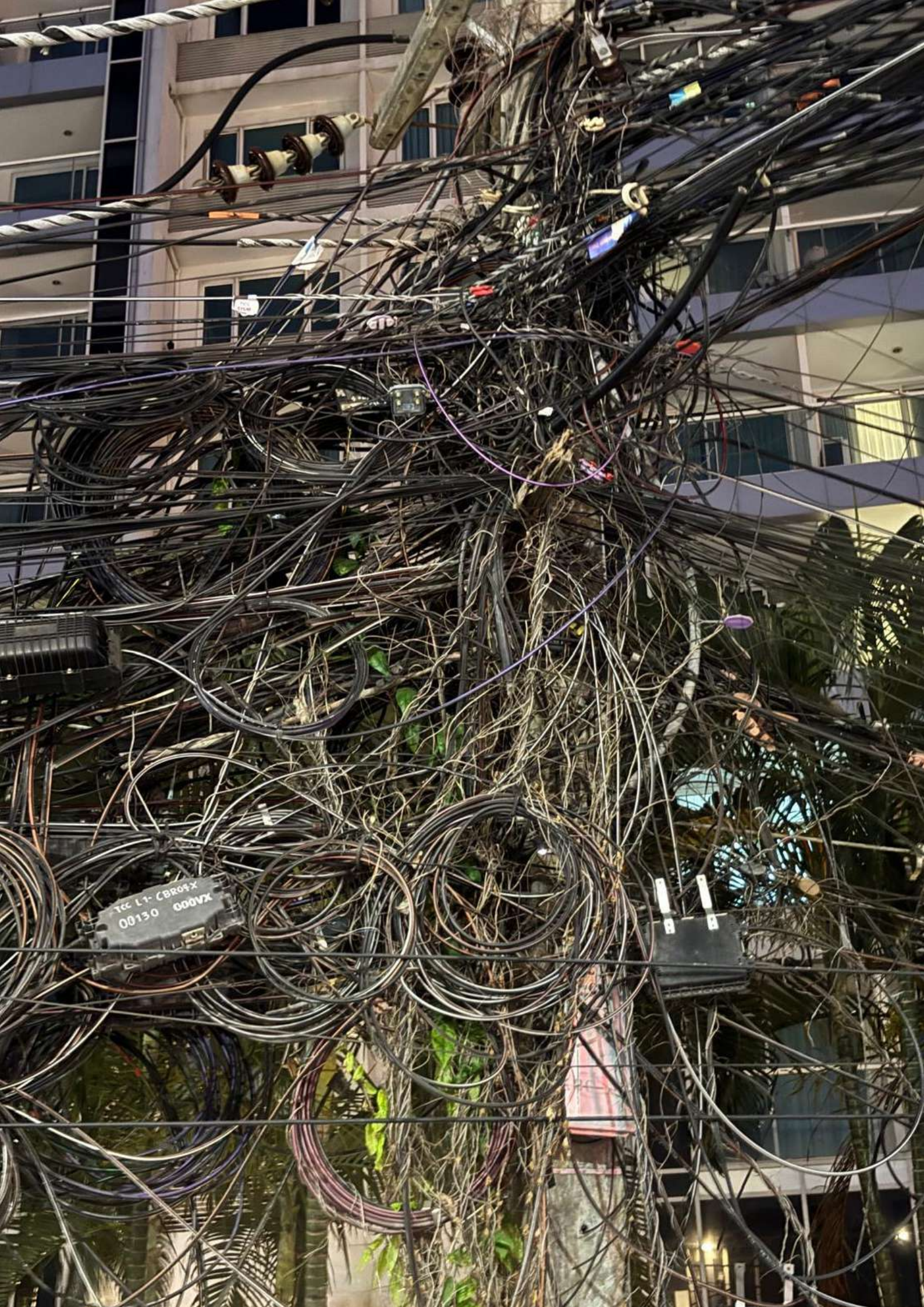
Studium przypadku ulicy w Pattayi, z lotu ptaka

JULIA LACH

Bzzzz... brum... brum...
Truk... truk... stuk... puk... brumm... brumm... uhhh... bum... bum...
Brrr... bam... bam... bam... tik-tak... tik-tak... puff...
Wrum... wrumm... wrum... wrumm
Ssss... ciach-ciach... brzdęk
Ćwir... ćwir... ćwir...

Raz, dwa, trzy, wstaję. Zautomatyzowane oczy ospale same mi się otwierają. Wokół mnie inne ptaszyny i wijące się tysiące kabli. Choć szumi ulica, wszystkie głośno, melodyjnie powtarzają... ćwir... ćwir... ćwir... Nogi moje również uwikłane są w sieć przewodów, zawieszonych kilka centymetrów nad głowami ludzi. To jest chyba wszystko połączone, ich głowy i kable. Zmechanizowany świat usług i pośpiechu, w którym zgiełk i hałas jest elementem składowym oraz fundamentalnym. To co widzę, to zakrzywione wnętrzości robota – jestem w płataninie, supełku, moim gnieździe nad ulicą Thepprasit, która staje się bohaterem tej bajki. Mieszkając nad jedną z żywszych dróg w Pattayi, natknąć się można na niebagatelnie ciekawe przejawy życia społecznego. Z tego względu tylko, że owa ulica jest dla mnie niezwykłym tematem, a od czasu mojego przyfrunięcia – wręcz codziennością – będąc jej częścią, baczny obserwator, podzielę się kilkoma wrażeniami z lotu ptaka – tak jak przychodzi mi tego doświadczyć.

Tak jak mniej lub bardziej efektywnie zarysowałem wcześniej, jestem Panem Ptakiem zimującym w Tajlandii i opowiem kilka słów. Ptaki zazwyczaj nie są ekspertami, ja także nim nie jestem, a tylko z zamiłowania obserwuję ludzi. Wszystko, co zobaczę, wyskrobuję na pergaminowych kartach ptasiego dziennika. Wizja moja może być wszakże lekko pokręcona, gdyż skrywam oczy pod warstwami piór i nie mówię w ludzkim języku. Wszystko, co państwo tu wyczytają, to ćwierk ptaka zagładcza. Zaznaczę także, że to, co rozumiem w tematach kabli, dróg, przechodniów, przejeźdźców oraz ich relacji z ulicą, wynika z pewnych porównań, domniemań, powiązań i szerzej niepojętych procesów wewnątrzkomórkowych, które we mnie zachodzą. Jestem nikim, by osądzać i mam wielką nadzieję, że moja opowieść nie zostanie w ten sposób odebrana.



Zacznijmy od ciała. Jednym z najczęściej spotykanych tu miejsc usługowych są salony masażu. Nie zagłębię się jednak w ich aspekty, chociaż ewidentnie w swej istocie mogą być one problematyczne i bardzo, bardzo złożone. Zwrócę się natomiast ku cielesności, jaka objawia się na ulicach, a salony masażu uznaję jedynie za pretekst do rozpoczęcia mojego wywodu. Ciała są jednocześnie bardzo odsłonięte – społecznie roznegliżowane oraz bardzo uwewnętrznione – społecznie zakryte (jak się później okaże, także w zależności od pory dnia). Jest wiele ciał szczególnie eksponowanych, ze względu na przynoszone za ich pomocą zyski pieniężne, część jednak pozostaje kompletnie zasłonięta, niewidoczna. Ulica reguluje i ustanawia sposób, w jaki żyją. W Pattayi tworzą rzeczywistość zmechanizowaną, w wyniku dużej urbanizacji i modernizacji. Preferowanym stylem poruszania się jest ten na kółkach, najlepiej dwóch. Najbardziej ruchliwe ulice oferują mały kawałek chodniczka, dla ewentualnego przemieszczania się pomiędzy lokalami usługowymi. Ciała schowane są w metalowych puszkach wożących. Na zewnątrz, na słońcu, istnieją niezakryte ciała turystów, zagadkowo patrzące na krajobraz ruchu. Tajowie nie pokazują się przed zachodem. To znowu uogólnienie, obserwacja z lotu ptaka nad kilkoma ulicami Pattayi. Skręcam w boczną uliczkę, teraz już po zmroku i całość odwraca się, zmienia bieg, wszystkie domniemania nie są już prawdą, a ciał na ulicach jest mnóstwo. Spotykają się, goszczą na ulicach, jedzą, śpią, tańczą, sprzedają, kupują, żyją społecznie. Wszystko przeradza się w karnawał, gry i zabawy rządzą Thap Phrayą. Chodniki od tej pory stają się przedłużeniem domów właścicieli lokali tapicerskich, wyrobniczych, stolarskich, salonów bjuti i masażu. Ta sama ulica, która z wierzchu, w trakcie dnia wygląda pusto i groźnie, wieczorem jest centrum życia. Te same ciała, wcześniej zakryte – w blaszanych samochodach, w czterech ścianach zakładu pracy, pod warstwami ubrań, które odsłaniają tylko przenikliwe oczy pracowników – teraz swobodnie wychodzą, aby wspólnie biesiadować. Siadają przy plastikowych stołach na różnokolorowych taborecikach, na ziemi, na tkaninach czy kanapach tapicerowanych rękami matek i ojców. Wokół kilometrowe pnąca kabli. Mieszkańców widuję także na posiłkach w pobliskich obwoźnych budkach z jedzeniem. Ich właściciele zazwyczaj nie zmieniają miejsc wieczornego stacjonowania swoich kuchni i w ten sposób tworzą się relacje między lokalną społecznością i kucharzami, oparte o wspólne jedzenie. W tym wszystkim wątek cielesności wymknął mi się i daleko odbiegł do krainy pysznego tajskiego jedzenia, które czasem, zlatując, skubną i odfrunę, zelektryzowany pikanterią. Tak więc ciałami odkrytymi są najczęściej te, które są eksploatowane, wykorzystywane dla dobra rodziny, aby przynieść pieniądze na jedzenie i raz na jakiś czas wspólnie zjeść.

Ulica jest szerokim polem manewru dla badaczy oraz ptasich podglądaczy, właśnie takich jak ja. Myślę, że w gąszczu kabli kryje się ich jeszcze bardzo wielu. Dźwięcznie śpiewają swoje historie, akompaniując w ten sposób hałaśliwym autom. Brrum... bzzz... buh... truh... trak... pum... pum... brrr... bam... bam... bam... tik-tak... tik-tak... puff... ćwir... ćwir... ćwir... Mam szczerą nadzieję, że dzięki mojemu skromnemu opisowi, mogli sobie państwo zwizualizować, usłyszeć uchem wyobraźni, tajską ulicę i barwne życie jej mieszkańców.

Antropolożka na komisariacie

– czyli pierwsze wyjście w teren

LAURA PICHLIŃSKA

Wywiad, pierwsza namiastka doświadczenia terenowego – każdy musi przez to przejść, żeby zaliczyć przedmiot i, rzecz jasna, czegoś się o sztuce rozmowy nauczyć w praktyce. Nasza grupa – Natałka, Julka i ja – jako temat badań wybrała doświadczenia kobiet z policji. Relacja Polaków do tej grupy zawodowej zawsze była zmienna, lecz ostatnio zauważalny jest wzrost stosunku negatywnego (wystarczy spojrzeć na podsumowania Polskiej Agencji Prasowej). Być może na taki stan rzeczy wpłynęło upolitycznienie zadań służb (np. „obstawa” domu prezesa PiS podczas Strajku Kobiet w 2020 r.), ale też osobiste złe doświadczenia w kontaktach ze stróżami prawa. Sama przyznam, że do policjantów płci męskiej byłam uprzedzona ze względu na to, jak nieuprzejmie i protekcyjnie zostałam potraktowana, gdy zgłosiłam wypadek drogowy z moim udziałem. Ale przecucie mówiło mi, że policjantki są zupełnie inne: cieplejsze, bardziej otwarte, uprzejme. Zdarzyło mi się też kiedyś wezwać patrol policji i pamiętam ulgę, jaką poczułam, gdy w parze znalazła się kobieta.

Znalezienie rozmówczyń okazało

się pierwszym i najtrudniejszym wyzwaniem w tym projekcie. Żadna z podejmowanych przez nas prób kontaktu nie przynosiła rezultatu i obawialiśmy się, że będziemy musiały zupełnie zmienić koncepcję. Wreszcie, dzięki skomplikowanym koneksjom (kuzyn brata mamy psa kolegi szwagra), udało nam się umówić rozmowę na komisariacie.

Przyjechaliśmy pod warszawską Komendę Rejonową Policji. Najpierw czekałyśmy w części ogólnodostępnej, gdzie składa się zawiadomienia itd. Następnie wyszła po nas jedna z późniejszych rozmówczyń, Ewa [imiona w tekście zostały zmienione]. Drzwiami obok stanowiska dyżurującego policjanta weszłyśmy do strefy niedostępnej dla „zwykłych śmiertelników”. Na parterze minęłyśmy m.in. pokój dla osób zatrzymanych (PDOZ) i schodami weszłyśmy na pierwsze piętro, gdzie mieściły się biura Wydziału Dochodzeniowo-Śledczego. Najpierw Ewa zaprowadziła nas do naczelniczki, która wypytała nas o to, skąd jesteśmy, co właściwie studiujemy („Co to ta etiologia? Et-nologia?”) i o czym chcemy rozmawiać. Kluczowym faktem dla zdobycia jej przychylności okazało się uprawianie sportów. Po krótkim wstępie popro-

wadziła nas i Ewę do pokoju, gdzie pracowała Marta. „No, to poopowiadajcie dziewczynom” – rzuciła i wyszła, nie Marcie ani Ewie nie wyjaśniając.

Sam fakt, że udało się zorganizować ten wywiad, to już największy sukces badania; rozmowa okazała się jednak kolejnym przejściem, do którego niestety nie uzyskaliśmy dostępu – wywiad w miejscu pracy nie sprzyja pełnej otwartości. Zresztą już wtedy, gdy Ewa prowadziła nas do naczelniczki, żartobliwie rzuciła: „Trzeba uważać na słowa!”. Coś w tym jest. Nasze pytania nie były kontrowersyjne (obowiązki, typowy dzień w pracy etc.), ale dziewczyny skupiły się na przekazaniu nam ogólnego obrazu policji, nie zaś swoich (specyficznie kobiecych) doświadczeń, które przecież najbardziej nas interesowały. Często słyszałyśmy odpowiedzi: „To zależy”, „Každy ma inaczej” i tym podobne. Ale może nie chciały mówić zbyt wiele?

Odwrociłam więc nasze małe założenie, że kobietom może być trudniej i zapytałam, czy płęć żeńska może coś w tej pracy ułatwić. Ewa przytoczyła sytuację jeszcze z czasów swojej pracy w patrolu, kiedy to wraz z męskim partnerem mieli interwencję do dziecka z przemocowej rodziny. Ewa sama powiedziała, że partner podchodził do młodocianego rozmówcy bardziej „rzeczowo” i przeprowadzał tę rozmowę

jak „wywiad”, natomiast Ewa zrobiła to z większym zrozumieniem dla ograniczeń jego wieku i pewnym ciepłem, które pozwoliło uzyskać odpowiednie informacje. Zaraz jednak Marta wtrąciła, że kolega z patrolu nie ma dzieci, więc to może dlatego – gdyby je miał, to może umiałby lepiej „podejść” do sprawy. Ewa się zgodziła, chociaż też przecież nie ma dzieci. Miałam wrażenie, że bardzo nie chcą pokazać żadnych różnic pomiędzy płciami w pracy. Czy to autocenzura, czy jakaś szersza „polityka”?

Ta niedostępność nie wynikała z niechęci, ponieważ dziewczyny przyjęły nas otwarcie, a potem przyjaźnie pożegnały. Razem z naczelniczką kilkukrotnie zachęciły nas do dołączenia do policji. Przez chwilę znajdowałyśmy się w ciekawym punkcie „pomiędzy”. Jak ujęła to Marta, tutaj „szczęśliwi ludzie nie przychodzą”, a przyszłyśmy my. Ale przyznaję, że gdy tylko opuściłyśmy komisariat, cały stres ze mnie uleciał. Jakaś część mnie obawiała się, że nasza obecność tam będzie problematyczna – tak jakby na komendzie mieli nas już zatrzymać. Oczywiście do drzwi musiała nas odprowadzić Ewa, po jednostce nie mogłybyśmy poruszać się same. Świat wewnętrzny się dla nas zamknął i znów zostałyśmy „zwykłymi” ludźmi, jakich codziennie przychodzi tu wiele.

Kamienie wołać będą

Nienagrany wywiad z łemkowskim
gospodarzem z Turzańska, 14 maja 2022 roku

MIKOŁAJ WITKOWSKI

Władysław mówił cicho i bardzo wolno. Każde słowo raczej sączyło się niż wypływało z jego ust. Nie znałem jeszcze jego historii, ale od razu pomyślałem, że tak może mówić wyłącznie człowiek, który z n a P r a w d ę. Na nagranie wywiadu nie zgodził się. Nie chciał, by ktoś myślał, że wypowiada się jako autorytet, w imieniu ogółu, o trudnej łemkowskiej przeszłości. Odebrałem to jako sprzeciw człowieka, który ma silnie wyrobiony stosunek do historii, który dużo przeżył, nieraz doświadczał też krzywd i zniewag z powodu swojego pochodzenia. „Historia dzieli ludzi – mówił – a ja nie chcę w tym brać udziału”. Zaraz jednak dodał, że jest jeszcze jeden, osobisty powód.

Wynajmowali kiedyś pokój pewnemu profesorowi teologii z Warszawy. Któregoś dnia gość wybrał się na spacer po miejscowym cmentarzu. „Jak wy tutaj żyjecie?!” – pyta wzburzony po powrocie. Nie mieściło mu się w głowie, że obok siebie mogą stać nagrobki katolickie, greckokatolickie, prawosławne i nawet należące do Świadków Jehowy: że ludzie tylu wyznań mogą tak po prostu mieszkać w jednej wsi obok siebie. „Normalnie żyjemy” – odpowiada Władysław i tłumaczy, że sprawa religii jest dla każdego kwestią osobistą, a tak to

razem pracują, pomagają sobie, pracują w jednym tartaku. „Tak to funkcjonuje”. Profesorowi trudno to pojąć. W końcu wydusza z siebie pytanie: „A wy, jakiej wy jesteście wiary?”. „Ja – odpowiada mu Władysław – trzy razy zmieniałem wyznanie, ale ani razu nie zmieniłem wiary”. A ponieważ profesor drąży temat, zaczyna opowiadać mu o swoim życiu.

Urodził się na Pomorzu w 1947 roku. Mimo że jego rodzice byli greckokatolickimi Łemkami, ochrzczony został w kościele rzymskokatolickim, takie też otrzymał wychowanie. Pierwszy raz – mówi – do zmiany wyznania „nakłonił” go ksiądz katecheta. „Byłem – tłumaczy się Władysław – bardzo ciekliwy i jak coś mi się nie zgadzało, to nie mogłem tego znieść. Ni w ząb nie rozumiałem, dlaczego jest tak, że Syn to jedno, Ojciec też jedno, Duch też jedno, a razem też jedno”. Ksiądz na katechezie o Trójcy Świętej po kilka razy pyta, czy wszystko jasne, klasa milczy, w końcu on zbiera się na odwagę: „«Proszę księdza, ja nie rozumiem. Jak to jest: na matematyce nauczyciel uczy, że $1+1+1=3$, a ksiądz tłumaczy, że $1+1+1=1$?» Ksiądz nie wiem, czy nie zrozumiał mojego pytania, czy też zrozumiał i to aż za dobrze, w każdym razie złapał się za sznurek

z paciorkami, który miał na sobie i zamiast odpowiedzi zdzielił mnie dwa razy po głowie, dodając że głupich pytań się nie zadaje”. „To jak dzieci mają zrozumieć – pyta mnie – skoro on nie umie odpowiedzieć na ich pytania?”. Jako kolejne ważne wydarzenie wspomina pierwszą spowiedź. Za pokutę ksiądz wyznaczył mu zmówić 10 razy *Ojcze nasz*. „To mnie odrzuciło od Kościoła zupełnie, no bo jak to jest, że ja od dziecka odmawiałem tę modlitwę codziennie wieczorem, klęcząc przy łóżku, z namaszczeniem i zawsze wyobrażając sobie, że mówię do Kogoś konkretnego, do konkretnej Osoby. I jak teraz modlitwa może być karą?”. Od tego czasu znalazł się na uboczu jakiegokolwiek życia religijnego.

Rodzice Władysława nie pogodzili się z wysiedleniem i gdy tylko nadarzyła się taka możliwość, wrócili do Turzańska. Udało im się nawet odzyskać swój dawny plac. Podobnie jak inni Łemkowie, zaczęli chodzić do miejscowej cerkwi prawosławnej, do której raz w tygodniu dojeżdżał proboszcz z Komańczy. Władysław początkowo unikał angażowania się w sprawy religijne. W końcu jednak „zachciało mu się żenić”, że zaś narzeczona była córką sołtysa, to i ślub musiał być „na fest”, no i oczywiście w cerkwi. Wtedy dopiero włączył się w życie skromnej prawosławnej wspólnoty, zaprzyjaźnił się też z proboszczem, którego woził nieraz motocyklem od wsi do wsi, w drodze do wiernych. W czasie tych podróży nieraz rozmowa schodziła na sprawy wiary. Okazało się, że również proboszcz religię traktuje trochę jako sposób na życie. Bardzo to przypadło do gustu Władysławowi: „Doskonaleśmy się rozumieli” – wspomina. Obaj patrzyli na religię z przymrużeniem oka. „Moja mama miała wtedy pewne kontakty ze Świadkami Jehowy. Czytała

ich Pismo, ale normalnie chodziła do cerkwi, słuchała Słowa Bożego i tylko zastanawiała się: „Ciekawe, czy w tym naszym Piśmie jest to samo napisane”. Wracając do domu, sprawdzała: to samo! Podobnie po mszy katolickiej. „To jak to może być – pyta Władysław – że wszędzie jest to samo Słowo, a trzy różne religie?”.

Któregoś dnia odwiedził go dawny sąsiad. Usiedli na ganuku, Władysław zaczął mu zadawać różne pytania, a ów człowiek wertował Pismo i mu wszystko objaśniał – tak że dał mu odpowiedź na każde jedno pytanie. Wtedy Władysław poczuł, że „nareszcie jest w domu”. Bo katolicyzm nie umiał odpowiedzieć na jego pytania, prawosławny ksiądz traktował zaś religię jedynie pragmatycznie. Natomiast teraz nareszcie zrozumiał, że poznał Prawdę: odnalazł odpowiedzi na wszystkie swoje pytania. Wtedy też dopiero zrozumiałem, że rozmawiam ze Świadkiem Jehowy.

Gdy tak rozmawiamy, wyciąga telefon i zaczyna czegoś szukać. Zatrzymuje się na zdjęciu nagrobka. „Zaraz ci coś pokażę” – mówi – po czym w nowym oknie otwiera Biblię i znajduje w niej cytat: „Zaprawdę powiadam wam, jeśli ci umilkną, kamienie wołać będą”. Potem pokazuje mi nagrobek i każe przeczytać: „Tu spoczywają: Bazylki Kimak, Tekla Kimak; Zmarli z nadzieją zmartwychwstania”. I mówi: „I tak jest, to prawda. Oni zmarli z nadzieją zmartwychwstania, bo oni sami pierwsi byli tutaj Świadkami Jehowy”. Chwali się z dumą, że to on wymyślił napis na tym nagrobku. I kończy: „Jeśli ci umilkną, kamienie wołać będą. I ten nagrobek to jest kamień, który zamiast nich (bo umarli, a więc umilkli) woła i głosi zmartwychwstanie”. „I właśnie ten profesor – mówi – widział na cmentarzu ten grób Świadków Jehowy i nie mógł pojąć, jak to jest możliwe, że oni wszyscy tutaj razem mogą żyć”.



(Auto)etnografia z pajakami

– czyli jak poradziłam sobie
z osobistymi barierami w terenie

DOMINIKA NIKIEL

22 LIPCA. PAJĘCZYN MNÓSTWO. IDĘ NAD KANAŁEM NOWE UJŚCIE, ZGRZANA, ALE W DŁUGIM RĘKAWIE I SPODNIACH. CHCĘ JAK NAJBARDZIEJ ODGRODZIĆ SIĘ OD NATURY (...), UCIEC WRĘCZ OD TEGO MIEJSCA, TEGO KANAŁKU, KTÓRY TRAKTUJĘ NIE JAKO KOLEJNE MIEJSCE DO BADAŃ, ALE TRASĘ, KTÓRĄ ZMUSZONA JESTEM PRZEJŚĆ, BY DOTRZEĆ DO MOJEGO DZISIEJSZEGO CELU.

MINĘŁYŚMY GAWRONA, KTÓRY ZATRZYMAŁ SIĘ NAD WODĄ, BY UKOIĆ PRAGNIENIE; ŚWIERSZCZE, GRAJĄCE W TRAWIE SVOJĄ MONOTONNĄ MELODIĘ; LICZNE PAJĘCZYN, ZAWIESZONE NA ŻYWOPŁOTACH NICZYM NASZYJNIKI. OD TYCH OSTATNICH ODRZUCA MNIE MOJA ARACHNOFOBIA, JAKŻE WIDOCZNA PODCZAS TYCH BADAŃ TERENOWYCH. BEZ MOJEJ ZGODY WYKLUCZA SPORĄ GRUPĘ AKTORÓW NIE-LUDZKICH, KTÓRZY RÓWNIEŻ STANOWIĆ BY MOGLI CIEKAWY OBIEKT OBSERWACJI. JESTEM ZŁA NA SIEBIE, ŻE NIE MOGĘ W PEŁNI ODCZUWAĆ TEGO TERENU.

Powyższy tekst jest fragmentem notatki autoetnograficznej, jaką sporządziłam w trakcie badań laboratoryjnych w warszawskim Wawrze – badań, które wiele mnie nauczyły, ale też wymagały ode mnie wiele wysiłku. Zmusiły mnie bowiem do skonfrontowania się z własną arachnofobią – moją osobistą barierą, uniemożliwiającą mi w pełni wejść w interakcję z otoczeniem. W trakcie tych badań rozpoczęło się moje nieustanne porównywanie się do innych uczestników laboratorium:

DO LUDZI, KTÓRZY Z RADOŚCIĄ I CIEKAWOŚCIĄ ZDEJMUJĄ BUTY I WCHODZĄ BOSO W BAGNO. LUDZI, KTÓRZY PODZIWIJAJĄ KAŻDE NAJMNIEJSZE STWORZONKO, JEGO CZUŁKI, UMASZCZENIE I BZYZCZENIE. KTÓRZY Z ZAFASCYNOWANIEM PRZYGLĄDAJĄ SIĘ POD LUPĄ SZKIELETOM LIŚCI I WYGRYZIONYM W NICH DZIUROM, PODCZAS GDY JA ZAJĘTA JESTEM UNIKANIEM PAJĄKÓW I WSZECHOBECNYCH MRÓWEK.

NIE JESTEM W STANIE WYZBYĆ SIĘ TEGO WARTOŚCIOWANIA, USTAWIANIA NAS W HIERARCHII, W KTÓREJ PRZEZ MOJĄ NIEUZASADNIONĄ, IRRACJONALNĄ FOBIE, ZNAJDUJĘ SIĘ NA SAMYM DOLE. TAK, JAKBY MOJE CIESZENIE SIĘ PRZYRODĄ BYŁO GORSZE NIŻ INNYCH. (...) A PRZECIEŻ NA WSPOMINANYM WYJŚCIU DO LASU JA RÓWNIEŻ WCHODZIŁAM W INTERAKCJĘ Z PRZYRODĄ – BIEGAŁAM Z PSEM HIRO I BAWIŁAM SIĘ Z NIM W APORT. WCIĄGNĘŁAM SIĘ TAK BARDZO, ŻE ZAPOMNIAŁAM O PAJĄKACH, DO MOMENTU GDY PAJĘCZYNA NIE ZNALAZŁA SIĘ TUŻ PRZED MOJĄ TWARZĄ.

Moje porównywanie się było efektem lęku i niepewności, które długo pozostawały ukryte. Na wierzch wyciągnęła je dopiero owa arachnofobia, zetknięcie się twarzą w twarz z moim lękiem, uosobionym w postaci pająka. Jednak do tego momentu pozostawałam na poziomie osobistych, emocjonalnych rozważań nad sobą samą.

I WTEDY DOTARŁO DO MNIE, ŻE TO MÓJ LĘK PRZED WSZYSTKIM, MOJA NATURALNA NERWOWOŚĆ KAZAŁA MI STWORZYĆ TEN KRÓTKI FRAGMENT, KRYTYKUJĄCY MNIE SAMĄ. OBAWA PRZED TYM, ŻE NIE NADAJĘ SIĘ NA TO LABORATORIUM. NIE NADAJĘ SIĘ NA ANTROPOŁOŻKĘ. ŻE WCHODZĄC W INTERAKCJĘ Z PRZYRODĄ, TAK JAK NAMAWIAŁA NAS DO TEGO PROWADZĄCA, PRZYPADKIEM WEJDĘ W PAJĘCZYNĘ. ŻE MOJA NOTATKA JEST NIE TAKA, JAK POWINNA BYĆ. ŻE TO WSZYSTKO TAK NAPRAWDĘ NIE MA SENSU, CAŁE TO ŁĄŻENIE PO CHASZCZACH.

Spisując swoje przemyślenia w formie autoetnografii, a następnie czytając je kilkakrotnie, zmuszona byłam skonfrontować się z moimi wymaganiami wobec siebie samej. Oczekiwałam, że w trakcie badań przestanę być sobą: że wejść w rolę antropologa i wszystkie bariery, z którymi borykam się na co dzień, magicznie znikną. Albo właściwie, że wyjdę z siebie i stanę obok w roli antropologa, a wszystkie bariery, z którymi borykam się na co dzień, magicznie znikną.

NIE UMIEM WYZBYĆ SIĘ MOJEGO WEWNĘTRZNEGO LĘKU, OBAW, ANALIZOWANIA WSZYSTKIEGO. SKUPIŁAM SIĘ NA MOICH ODCZUCIACH TAK BARDZO, ŻE NIE MAM POJĘCIA, CZY TA MOJA MAŁA ROZPRAWA JEST W OGÓLE OCZEKIWANĄ ODE MNIE AUTOETNOGRAFIĄ. ALE CZY NAPRAWDĘ MUSZĘ SPEŁNIAĆ WSZYSTKIE OCZEKIWANIA WOBEC MNIE?

Jednak antropologia, co bardzo cenię, dostrzega wyraźny wpływ badacza na jego badania. Dostrzega jego pochodzenie, jego pozycjonowanie się i również jego ograniczenia. Jako niedoświadczona antropolożka, wciąż muszę to sobie przypominać. Nasze bariery warunkują to, co i jak możemy badać. Owszem, czasem warto spróbować je przełamać. Jednak niekiedy nasze ograniczenia mogą popchnąć nas w kierunku, którego się nie spodziewamy, a który może być równie ciekawy jak to, co ukryte za barierami. W moim przypadku było to badanie infrastruktury – elementu Wawra, który nie wywoływał we mnie lęku i który ciekawił mnie znacznie bardziej niż lokalna przyroda. Jednak, by pozwolić sobie na tego typu wybory, by zaakceptować swoje bariery i ograniczenia, w pierwszej kolejności trzeba się z nimi skonfrontować. Nie zawsze będzie to równie bezpośrednie, jak moje liczne zetknięcia z wawerskimi pająkami. Czasem konieczna jest po prostu chwila zastanowienia się nad sobą samym. Zatrzymanie się w pędzie naszych badań i spisanie towarzyszących nam w nich myśli, obaw i emocji. Nawet, jeśli w danym momencie wydaje się to bezsensowne, głupie czy nazbyt proste.

Wielogatunkowe Zakopane

ZUZIA KURIATA

Koniec mapy? Idę. Znowu trafiłam na tabliczkę „teren prywatny”, która wcale mnie nie zniechęca. Tutaj, na obrzeżach Zakopanego, granice są umowne. Z jednej strony idealnie wypielone rabatki i wybrukowane podjazdy – fortyfikacje przeciwko naturze. Z drugiej – bluszcz, który pożera ogrodzenia i gałęzie drzew, które nic sobie nie robią z prawa własności. To nie jest styk dwóch światów, to ekoton – strefa wojny i przenikania. Wchodzę na ścieżkę, która z ulicy zmienia się w las. Aż chce się chodzić. Wyzwaniem jest etyka: czy mam prawo wchodzić tam, gdzie tabliczka mówi „nie”? Ale w etnografii wielogatunkowej granice są negocjowalne. Ludzie stawiają płoty, by kontrolować naturę, ale ona odpo-

wiada – drzewa rosną, zwierzęta wędrują. Przestrzeń Zakopanego to hybryda, gdzie ciało ludzkie spotyka się z ciałami nie-ludzkimi. Idąc dalej, mijam budkę legową dla owadów – ktoś tu zaprasza naturę, ale na swoich warunkach. Płot to tylko sugestia, a teren badawczy uczy pokory: nie wszystko da się ogarnąć mapą czy teorią. To miejsce żyje własnym rytmem, a ja, jako badaczka, próbuję w nim uczestniczyć, nie narzucając się za bardzo. W linii prostej do celu mam kilkaset metrów, ale spacer zamienia się w kilkukilometrową pętlę. I dobrze. Bo w etnografii wielogatunkowej nie chodzi o dotarcie do punktu B, ale o to, kogo spotkasz po drodze. Może to będzie pies, z którym wymienisz spojrzenia, a może ślad kogoś, kto prze-

fot. Zuzia Kurjata



szedł tędy przed świtem. W tym mieście, gdzie granica między „ludzkim” i „dzikim” zaciera się na każdym kroku, najważniejsze dzieje się nie w centrum, lecz na marginesach. Tam, gdzie kończy się asfalt, a zaczyna niewiadoma.

Bricolage. Zakopane to asamblaż, wielogatunkowa sklejka. Gołębniki obok apartamentowców, budki łęgowe na designerskich elewacjach. Paradoks goni paradoks. Próbuje się to miasto uporządkować, wyciąć, zabetonować, a ono ciągle „mutuje”. Wystarczy zejść z Krupówek, żeby zobaczyć, że natura nie jest tu tłem. Jest aktorem. Czasem gra główną rolę, spychając nas, ludzi, do rzędu statystów, którzy bezradnie patrzą na rozkopany trawnik.

Święta Trójca. W moich badaniach terenowych w Zakopanem stała się centralnym punktem. Jako badaczka początkująca, wchodziłam w rolę obserwatora, ale szybko zrozumiałam, że to nie tylko o patrzeniu – to o byciu częścią sieci relacji. Niedźwiedź, dzik, jeleni. Zakopiańska triada, która rządzi wyobraźnią. Ale nie ta z pocztówek. Interesuje mnie ta, która grzebie w śmietnikach i wchodzi tam, gdzie nikt jej nie zapraszał. W mieście toczy się cicha walka o dominację. My stawiamy płoty, oni

je forsują. My chcemy „dzikości” jako atrakcji, ale tylko wtedy, gdy jest bezpiecznie oddzielona szybą lub kadrem aparatu. Kiedy dzikość staje nam na wycieracze, staje się problemem. Dzik jest dziki, dzik jest zły? Raczej: dzik jest sąsiadem, z którym nie potrafimy się dogadać. A może nie do końca chcemy?

Kamuflaż na badacza. Moja metoda? Szwendanie się. I telefon. Wyciągnięcie komórki to najlepszy kamuflaż. Stoję na rogu, niby piszę z kimś, a tak naprawdę obserwuję. Dzięki temu jestem niewidzialna. „Biodróż” to nie tylko chodzenie, to bycie w terenie całym ciałem. Czasem czuję się tu obca – dziewczyna z nizin w wysokogórskim krajobrazie, kręcąca się bez celu. Ale to właśnie ta obcość pozwala mi widzieć ostrzej. Widzę pęknięcia w krajobrazie, których „lokalsi” już nie zauważają. Rola badaczki to balansowanie między empatią a obiektywizmem: nie idealizuję zwierząt, ale kwestionuję hierarchię, gdzie czło-wiek jest na szczycie. W etnografii wielogatunkowej te zwierzęta to aktorzy, nie dekoracje. Wyzwanie? Brak metod na „wywiad” z dzikiem (przynajmniej na razie). A to już ciężko przeskoczyć.

fot. Zuzia Kuriata





fot. Mikołaj Witkowski

Szukaj wiatru w Polu

MIKOŁAJ WITKOWSKI I JÓZEK NOWOSIELSKI

Bukowina jest daleko. Daleko od polskiej granicy, daleko od frontu. Daleko od Kijowa, daleko od Bukaresztu. Marszrutka wyrzuca nas w Glinicy (Глиниця). Idziemy do sklepu po kawę i fajki, tam znajduje nas Ivan (@babynbuchok) – to on ściągnął nas na ten mały etnograficzny rekonesans – jedną z tysięcy swoich мандрівок (piękne słowo – odpowiada polskiej wędrownicy, ale jakby bardziej meandruje).



fot. Józek
Nowosielski

Od czterech lat dokumentuje ginący świat bukowińskiej wsi. Szukamy ludzi, którzy opowiedzą nam o tutejszych muzykantach – kiedyś znanych na całą okolicę.

Szukamy z marnym skutkiem. Krótka pogawędka z cymbalistą w lokalnym wiejskim klubie, wizyta na dywaniku u dyrektorki przedszkola – jej mąż jest skrzypkiem, ale gołoledź nie pozwoli nam dziś do niego dotrzeć.

fot. Józek Nowosielski





fot. Mikołaj Witkowski

Ivan wybiera nowy cel: idziemy na chutor Pole (хутір Поле), rozrzucony wśród горбочків (pagórków), gdzieś po drodze między Glinicą i Ostrą (Остра).



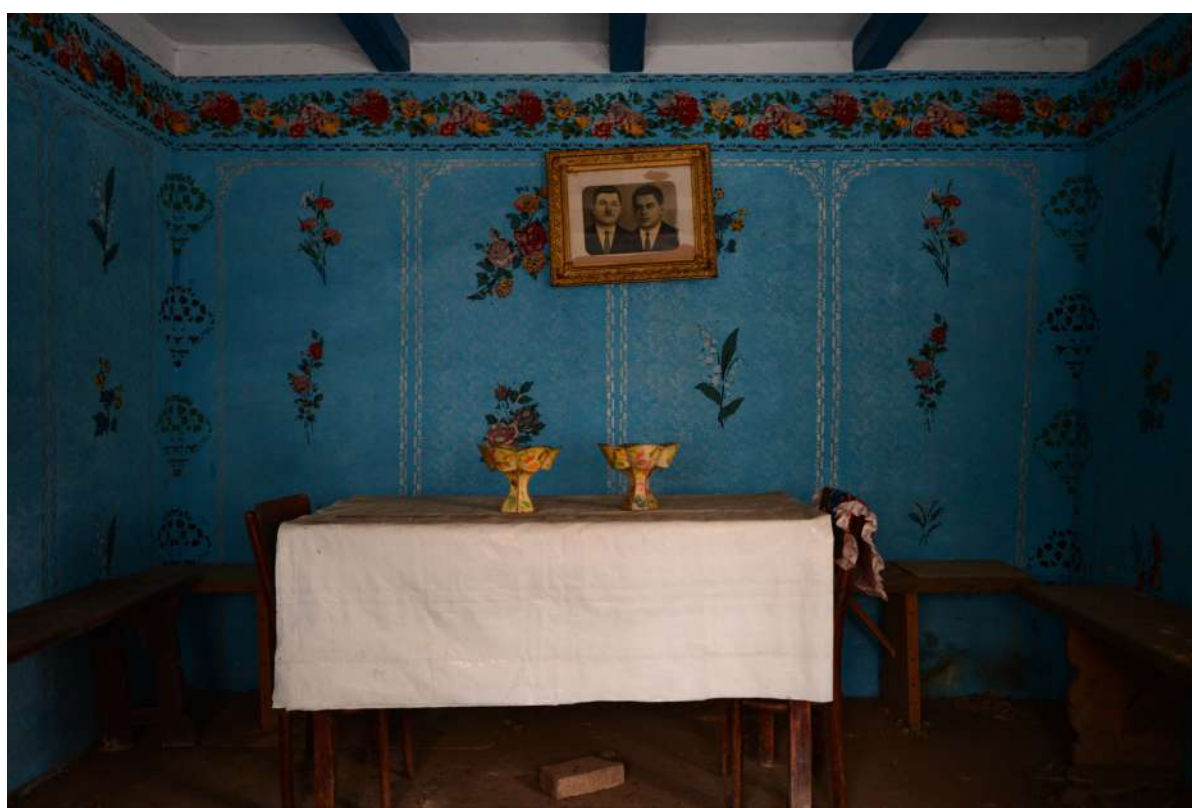
fot. Mikołaj Witkowski



fot. Józek
Nowosielski

Domy są tu przeważnie opuszczone. Poukrywane w krzakach, z oknami wychodzącymi na bezkresne pole, pokryte mokrym śniegiem – ludzi nie widziały już od bardzo, bardzo dawna. Prozaiczna sprawa, jak wszędzie – roboty nie ma, rozrywek nie ma, niczego w zasadzie nie ma. To i młodych ludzi – też nie ma. Ivan mówi, że z tym wyludnianiem to po prostu jest ху́йня (beznadzieja), a teraz – w związku z wojną – proces jeszcze przyspiesza.

Zachodzimy na podwórza, Ivan sprawnie otwiera okna... Niektóre domy mają tu po 100–150 lat, są bogato zdobione i malowane głębokim odcieniem niebieskiego. W środku jest wszystko, poza ludźmi: niektóre izby wyglądają tak, jakby rodzina na chwilę tylko wstała od stołu – i nagle znikła wśród łagodnych, białobruncatych wzgórz.



fot. Mikołaj
Witkowski

Koordynatorka Etnozina:

Aleksandra Tarka

Redakcja tekstów:

Mikołaj Witkowski

Selekcja tekstów:

Maria Jużków,
Aleksandra Tarka,
Mikołaj Witkowski

Autorzy tekstów:

Julia Lach,
Lola Tosia Lisicka,
Dominika Nikiel,
Józek Nowosielski,
Laura Pichlińska,
Hanna Piotrowska,
Jagoda Ratnayake,
Aleksandra Tarka,
Zuzia Kuriata,
Natalia Zugaj,
Mikołaj Witkowski

Zespół graficzny:

Lola Tosia Lisicka,
Klaudia Kośmider,
Wiktoria Kraszeninnikowa,
Aleksandra Tarka

Jeśli masz pomysł na tekst, pytanie
albo masz chęć z nami współpracować
przy tworzeniu Etnozina – napisz na
naszego maila: etnozin@gmail.com

